Nr. 1 | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, styczeń 1927 | Rok XLVIII

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

KALENDARZ ŁOWIECKI — **W styczniu wolno polować na** wszelką zwierzynę łowną, prócz jeleni i kuropatw.

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 2·50 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, $\frac{1}{2}$ str. 50 zł $\frac{1}{4}$ str. 30 zł, $\frac{1}{8}$ str. 15 zł, $\frac{1}{16}$ str. 10 złp., $\frac{1}{32}$ str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiej Spółki Myśliwskiej ul. Lindego 9, w godz. 12—1. — Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.

Pamiętajmy o ofiarach na ołtarz św. Huberta!

PROSIMY USILNIE CZŁONKÓW NASZYCH O DALSZE OFIARY NA DOKOŃCZENIE KAPLICY ŚW. HUBERTA!

NA ROK NOWY

a pięćdziesiąty pierwszy naszego istnienia, zasyłamy Członkom, Przyjaciołom i Czytelnikom naszym serdeczne *Szczęść Boże!*

Złote gody, któreśmy w roku ubiegłym obchodzili, podniosły autorytet starego naszego Towarzystwa, wykazały jego żywotność.

Od nas samych zależeć będzie utrzymać nadal ten wysoki poziom, na jakim prace kilku pokoleń Towarzystwo nasze postawiły, a utrzymać da się on tylko dalszą pracą i zabiegami całego zespołu naszego.

Zapraszamy myśliwych naszych, tych, co jeszcze do nas nie należą, do przystąpienia do Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z tym nowo zaczynającym się rokiem, wzywamy ich do współpracy z nami. Delegatów i członków naszych wzywamy do werbowania adeptów pod sztandar Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

Ciąg dalszy

W okresie trzydziestolecia działalności Towarzystwa, Wydział jego w dalszym ciągu obraduje nad rychłem doprowadzeniem do pożądanego skutku trzech postulatów Walnego Zgromadzenia, a to: reorganizacji delegatów, urządzenia ławy targowej zwierzyną i opracowaniem łowieckiego słownictwa.

Pierwsza z tych spraw — jakkolwiek wtempie nader powolnem — stale jednak zbliża się do mety i znaczne łowiectwu naszemu przysparza korzyści.

Druga natomiast, łącznie z plombowaniem zwierzyny, ciągle się odracza, gdyż — jak twierdzi jej referent, dr. Miziewicz, na coraz to nowe napotyka przeszkody, udaremniające jej sfinalizowanie.

Co się tyczy trzeciej, to z powodu, iż dotyczący komitet nawet do ułożenia programu rozpoczęcia tej pracy nie przystąpił, ani też uproszony o ułatwienie nam spełnienia tego zadania Szan. redaktor *Łowca Polskiego* z przyrzeczoną pomocą swoją nie podążył, — postanowiono urzeczywistnienie tego zagadnienia w inny dokonać sposób.

Uchwalono mianowicie powtórzyć w „Łowcu“ przedruk pracy W. Kozłowskiego p. t. *„Pierwsze początki terminologji łowieckiej“*, zamieszczonej w roczniku tegoż pisma z r. 1878 i jednocześnie zwrócić się do ogółu myśliwych polskich z gorącym apelem, aby celem uzupełnienia tej terminologji nowe do „Łowca“ zgłaszali wyrażenia, któreby odpowiadały żywym potrzebom i wymaganiom łowiectwa postępowego doby bieżącej.

I gdy na pewne liczono, że wśród falangi myśliwych naszych, wielu znajdzie się takich, którzy uznając łowiectwo za umiejętność, skrzętnie zbierają dane wyrażenia z pism wydanych po pracy Kozłowskiego (1822) i chętnie je do „Łowca“ nadeślą — okazało się, że rachuba ta haniebnie zawiodła. Prócz czterech gorliwszych członków nikt zgoła więcej, choćby jednem tylko słówkiem, nie przyczynił się do wzbogacenia języka łowieckiego.

Wobec tego w okresie tym pozostało nam jedynie to, co Kozłowski żmudnie wydobył z dzieł: Crescentyna, Cygańskiego, Bielawskiego, Ostroroga, Morsztyna, „Gospodarstwa jezdeckiego, strzelczego i myśliwczego“ (N. N. Poznań 1690), Haura i Kluka. A wszakże można było przy sposobności zainicjowania przez „Łowca“ drogą plebiscytu wprowadzić do powyższej terminologji wyrażenia nowsze z dzieł autorów XIX. stulecia, jak: Bobiatyńskiego, Dunina hr. Borkowskiego, I. Szytlera, M. Reumana, L. Siemieńskiego, Mylkiego, S. K. Pietruskiego, Gołębiowskiego, Maciejowskiego, Górnickiego, Kurowskiego, K. Wodzickiego, Dygasińskiego i wielu jeszcze innych, którzy w dobie ogłoszenia wspomnianego plebiscytu (1907 r.) byli znani.

Lecz niestety, nawet i tego nie uczyniono.

Krótko mówiąc — apel ten oraz dalsze nawoływania Wydziału Towarzystwa i redakcji „Łowca“ nie zdołały wzbudzić zapału w duszach myśliwych naszych

do tej zajmującej pracy. Wstręt do pióra był i pozostanie nadal charakterystycznym objawem ich psychyki.

Aliści w chwili rozmyślania nad tą klęską, wpada do redakcji nasz członek, Stefan hr. Szembek i woła: „Nie trapcie się, przynoszę wam jasny promyk nowej nadziei. Oto mój artykuł, który napisałem pod wpływem radosnych wiadomości. — Czytajcie!“

Zaciekawieni niezmiernie, rzucamy się chciwie na doręczony nam rękopis, czytamy i... zdumiewamy!

Oto w numerze 8-ym „Łowca Wielkopolskiego“ z 15. lipca 1907 r. pojawił się artykuł, pochodzący od redakcji, w którym oprócz różnych wycieczek skierowanych przeciwko naszemu organowi, czytamy z wielkiem zdziwieniem, ale i z niemałą zarazem radością, że pismo to „już w przeciągu roku, ma nadzieję uporania się z kwestją nowego słownictwa łowieckiego i wyrugowania germanizmów“.

Zapowiedź ta zaimponowała Stefanowi hr. Szembekowi tak mocno, że niezwłocznie zajął się zbadaniem, jakim to sposobem wspomniana redakcja zamierza dokonać tego arcytrudnego dzieła, z tak błyskawiczną szybkością.

Z obszernego artykułu hr. Szembeka (Nr. 18 „Łowca“ 1907) przytaczamy w skrucie wyniki jego badania:

„Żeby przynajmniej podpatrzyć i pouczyć się, jak się tamtejsi koledzy zabierają do tak ważnej sprawy, przestudjowałem całe dotychczasowe wydawnictwo „Łowca Wielkopolskiego“ (Nr. 1—10) *). I oto z artykułu p. Spychalskiego wyczytałem zdanie: „Zresztą kto nie chce być wyśmianym przez prawdziwych myśliwych, ten koniecznie z językiem łowieckim obeznać się powinien“. — No, chwała Bogu, — pisze Szembek — teraz przynajmniej człowiek będzie mógł przeczytać coś z dziedziny literatury łowieckiej, co będzie napisanem czystą, poprawną polszczyzną.

Z początku jakoś niemile mnie dotknęło, że nasz protoplasta Nemrod „wielki łowiec przed Panem“, przekształcony został na germańskiego Nimroda. To jeszcze nic, pomyślałem, nigdy nie był on kanonizowanym polskim świętym, niechże więc będzie sobie kosmopolitą. Ba, kiedy dalej spotkałem tam jakiś *sztafaż stad sarn, odgłos tokujących głuszczy, rogi niewyrosłych spisaków i jakieś drapieżniki skrzydlate, zaglądające do izb i odgryzające drobiazg.* Poczem dowiaduję się z przykrością, że nasza nowoczesna literatura łowiecka, z zaszczytnym wyjątkiem J. hr. Potockiego i po części Sienkiewicza, nie posiada żadnej wybitnej osobistości, o którejby warto wspominać. No proszę! A ja dotychczas święcie byłem przekonany, że śp. Kazimierz hr. Wodzicki, J. Łoziński, Spausta, Ubysz, L. hr. Starzeński, Bartels, wreszcie i nasz „Łowiec“, wybitne w literaturze łowieckiej zajęli stanowisko. Wprawdzie nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wyczytał w „Łowcu“ n. p. coś o sztucznem nawodnianiu łąk, o krzyżowaniu merynosów z rambouilletami, a także o *„rewirujących psach*, o *rozkładzie rogów* lub o *łowach na króliki z fretkami...*

*) Powstał 1 kwietnia 1907 r.

Opis polowania na słonki pouczył mnie także dosyć ciekawych szczegółów. Dowiedziałem się bowiem, że *trzeba się ustawić w odpowiedniem miejscu, oddać strzał do anonsującej się słonki bezzwłocznie*, psa zaś trzeba trzymać jak *najkródzej*, bo słonka, która się zrywa *z trzepotem, przypominającym psa strzepującego słuchy*, zwykle nie *zapaduje daleko!*

W numerze 2-im znalazłem opis jakiegoś strasznego polowania, na którem strzelano do razem spędzonych jeleni i krów, *które w następstwie, otrzymywały kule i w miejsce wizerowanych, ginęły.* — W numerze jednak 3-im zamieszczono sprostowanie, „że wyrażenie krowa, mylnie w tym wypadku zostało użytem, zamiast łania, bo krowa jest żeńskim osobnikiem łosia“, — To jakoś dziwne, bo krowa jest prawowitą małżonką byka czyli buhaja, a łosia *feminini generis,* nazywa się łosza lub klempa.

Natomiast z wielką przyjemnością dowiedziałem się, że najlepszą i najulubieńszą *patroną bezdymną jest marka Fasan.* Ba cóż z tego, kiedy według objaśnienia, trzeba używać tylko twardego śrutu, bo miękki wyszedłby z *flinty bardziej zrampowany.*

Zawstydziłem się też, że jestem zupełnym ignorantem co *do zwierząt lotnych* (str. 110, Nr. 7).

Na numerze 10-ym skończyłem, odsapnąłem i w głęboką popadłem zadumę. Nie mogłem pokombinować owych zarzutów nam czynionych, tych sprzeczności między głoszoną teorją a jej zastosowaniem, między słowem a pismem, aż nareszcie wykrzyknąłem Eureka! — Teraz dopiero pojąłem cały ukryty w tem cel. Proszę tylko posłuchać, jak to wszystko dowcipnie obmyślane. „Łowiec Wielkopolski ma nadzieję do roku załatwić ostatecznie sprawę terminologji łowieckiej, czysto polskiej. Ale nim to nastąpi, zapełnia swe wydawnictwo wyrażeniami, prowincjonalizmami i germanizmami, celem wykazania swoim czytelnikom, że tak się mówić, pisać i drukować nie powinno“.

Nie poruszamy tu dalszych wytknień i uwag zamieszczonych w artykule hr. Szembeka z racji innych jeszcze usterek dostrzeżonych w „Łowcu Wielkopolskim“, stwierdzamy jeno z ubolewaniem, że zapowiedziany przezeń słownik łowiecki nie zajął miejsca na półkach księgarskich. Żałujemy szczerze, że niewątpliwie najlepsze chęci i nadzieja tego wydawnictwa okazały się złudne. Grubo przeceniło ono własne siły na tak wielki zamiar; myśliwi zaś wielkopolscy — snadź z kurtuazji dla naszych, by ich nie zawstydzić — nie pospieszyli z pomocą swemu organowi.

Omówiwszy genezę tej sprawy, podjętej przez nasze Towarzystwo po raz pierwszy w 1878, a po raz wtóry w trzydzieści lat później — 1907 roku — oraz wykazawszy daremność wszelkich usiłowań w doprowadzeniu jej do pożądanego skutku, poczuwamy się przy tej okazji również i do obowiązku wznowienia tego postulatu w chwili bieżącej.

Dziś bowiem, skoro mamy najwyższą Izbę myśliwską, czyli wszechwładny „Centralny Związek Stowarzyszeń łowieckich“ w Warszawie — zrozumieć należy, że bez-

sprzecznie on tylko jest powołany do ostatecznego załatwienia tej wielkiej doniosłości sprawy.

Już sam Komitet redakcyjny organu wspomnianego Związku, t. j. „Łowca Polskiego“, w którym pracują biegli języka łowieckiego autorowie rzeczy myśliwskich tej miary co PP. Sztolcman, Ejsmond, Domaniewski, Czerniejewski, Garczyński, Gieysztor, Janta-Połczyński, Knotte, red. Krzywoszewski, jen. Kuczewski, Lilpop, hr. Morsztin, dr. Niezabitowski, Rożyński, hr. A. Rzewuski, Słonczyński, Szperling, Świderski, Świętorzecki, Unrug i dr. Zaborowski — wystarczającą przedstawia liczbę znawców danego przedmiotu, znakomicie uzdolnionych i powołanych do spełnienia powyższego zadania.

Niechże nam wolno będzie tym razem niepłonną już żywić nadzieję, że Wydział powyższego Związku zechce jaknajrychlej dokonać wyboru komitetu, któryby energicznie przystąpił do opracowania i wydania Słownika łowieckiego.

Domaga się tego mocno ogół myśliwych naszych, a niemniej silnie także i ambicja kulturalnego narodu polskiego. Nie kroczyć bowiem naprzód w tej dziedzinie — to naprawdę wstyd!

Wszakże dawno już świat cały zrozumiał, że najdroższą skarbnicą każdego narodu jest język; jest on bowiem wyrazem jego rozwoju umysłowego, kultury, oraz świadectwem sił żywotnych, jakie zapewniają byt i dalszy pochód na drodze postępu.

Ogromne zasługi nad rozkrzewieniem i uszlachetnieniem polskiego języka wszechstronnie położyła Akademja Umiejętności w Krakowie, niepomijając w tem i języka łowieckiego.

Jej to zawdzięczamy wydanie dzieła prof. Józefa Rostafińskiego p. t. „O myślistwie, koniach i psach łowczych książek pięcioro z lat 1584—1790“ (Kraków 1914).

W obszernej tej książce (552 str.), prof. Rostafiński skalpelem uczonego obrobił krytycznie: „Myślistwo ptasze“ Mateusza Cygańskiego, „Myśliwca“ Tomasza Bielawskiego, „Myślistwo z ogary“ Jana hr. Ostroroga, „Gospodarstwo jezdeckie, strzelcze i myśliwcze z doświadczenia N. N. szlachcica polskiego napisane“ *), tudzież Hipikę Krzysztofa Pieniążka.

Wydaniem tego dzieła, zaopatrzonego mnóstwem komentarzy do tekstu jak staropolskie wyrażenia rozumieć należy, oraz indeks rzeczowy i słowniczek, obejmujący około dwu tysięcy słów, wyczerpująco objaśnionych, posunął Rostafiński niezalatwioną dotychczas sprawę dokładnego słownika gwary łowieckiej krokiem olbrzymim naprzód, — uchylając zarazem w ten sposób dzisiejszym myśliwym niemałego trudu brnięcia w ciemnościach i przerębywania się przez cały las niejasności.

Dzięki omówieniu przez tego uczonego najstarszych pomników polskiej literatury myśliwskiej, ogromnie ułatwioną została dalsza na tem polu praca.

Przekonani najmocniej, że obecnie wykonaniem jej — zajmie się niewątpliwie nasz C. Z. S. Ł. w Warszawie i stworzy dzieło wiekopomne — życzymy Mu gorąco pełnego zwycięstwa.

Jaką drogę do spełnienia tego doniosłego zagadnienia pomieniony Związek obierze? — Nie wiemy.

Zdaniem naszem należałoby przedewszystkiem zająć się zbadaniem źródeł pochodzenia wyrażeń łowieckich objętych pracami autorów, z których czerpał Kozłowski — z pominięciem obrobionych przez Rostafińskiego, — a następnie prac z okresu 1822 aż po dobę dzisiejszą. Jednocześnie ułożyć kwestjonarjusz, dołączyć go do organu Związku i „Łowca“, celem zebrania drogą plebiscytu nomenklatury odpowiadającej wszechstronnie koniecznym potrzebom naszego łowiectwa nowoczesnego, a przy tej okazji i wyrażeń dawniejszych, żyjących dotychczas w ustach ludu i starych myśliwych we wszystkich zakątkach ziem polskich.

Dla raźniejszego postępu pracy byłoby wskazanem nie wyczekiwać końca zebrania całości materjału, lecz w miarę zdobywania corychlej opracowywać go wzorem Rostafińskiego — i częściami odsyłać do komisji językoznawczej Akademji Umiejętności w Krakowie z prośbą o wyrażenie opinji i udzielenia sankcji.

Skrócone to postępowanie umożliwi szybsze układanie Słownika alfabetycznie.

Bez współpracy w tem zagadnieniu społeczności myśliwskiej i Akademji Umiejętności nie posiadałby Słownik łowiecki — choćby najlepszy — stempla dzieła pomnikowego w myśliwskiej literaturze polskiej.



*) Domyślnie, ze względu na spiżowy styl, Anzelm Gostomski.

ALBERT MNISZEK

KARPATY WSCHODNIE

W TOPOGRAFJI, NOMENKLATURZE I MYŚLISTWIE

Ciąg dalszy

Chcąc się dostać do podnóża głównych Gorganów, a więc czy to do właściwego ich pasma, ze szczytami Sywula i Ihrowyszcze (Jasień) czy to do zachodnich ich pasm po lewej stronie Łomnicy, siadamy do kolejki wąskotorowej własności tartaku firmy Glesinger w Broszniowie stacji kolejowej na linji Stryj-Stanisławów. Kolejka



GORGANY: POPADJA (1743 m) *Fot. M. Aftanowicz*

przebiega szeroką dolinę Duby i Łomnicy, mija Rożniatów i Niebylów, Dubę, Demnię i Perechińsko miasteczko liczące dzisiaj do 9000 mieszkańców. Za Perechińskiem dolina się zwęża i wjeżdżamy już w typową karpacką dolinę ograniczoną z obu stron lesistemi zboczami gór. Na południu zarysowują się już nam poważne kontury gór, szczyty Seredna, Matachowa, Ihrowyszcza, Konia Grofeckiego i Grofy. Mijamy Angielów i wjeżdżamy do Podlutego. Tu wysiadają myśliwi polujący w niższych rewirach Perehińska, Świnne, Todor i Małyj, my jedziemy dalej i przebywszy jeszcze trzy kilometry, stajemy w Osmołodzie.

Przed nami wznosi się teraz ku południowi Kanusiak mały (1624 m), Jałowa Klewa (1563 m) i najwyższy ztąd widzialny Grofa (1752 m). Na północnym zachodzie błękitnieją zalesione zbocza Arszycy.

Osmołoda jest punktem wyjścia do wszystkich wysokich partji Gorganów. Tu schodzą się grzbiety Arszycy, Kanusiaków i Wysokiej i doliny Mołody i Łomnicy, stąd też rozchodzą się ścieżki w głąb gór i na szczyty. Od Osmołody ciągnie się jeszcze dolina Łomnicy w głąb gór aż pod główne, będące granicą państwa ich pasmo, skąd ta rzeka wypływa. Dolina Łomnicy powyżej Osmołody ma kilka rozgałęzień w miarę strumieni do niej wpływających, najważniejszą jest dolina Pietrosu, gdyż nią wyjść można na Popadję. Na zachód od Osmołody doliną Mołody, dochodzimy do Grofy, Konia Grofeckiego i Kanusiaków. Tędy też prowadzi ścieżka na łąkę Płyśce, która tworzy przełęcz między Grofą a Parenkami, gdzie stoi domek myśliwski.

W odległości 5 i pół km. od Osmołody mamy stacyjkę kolejową Mszanę w miejscu gdzie strumienie Mszana i Mołoda się łączą. Tu łączą się też obie doliny. Doliną Mszany idziemy w kierunku północno-wschodnim do przełęczy między Gorganem a Jajkiem Ilemskiem, doliną zaś Mołody dostajemy się, idąc w kierunku południowo-zachodnim pod główny grzbiet Karpat i granicę państwową. Ta część Mołody i jej doliny nazywa się Zełeną. Tu mamy ostatnią stację kolejki lasowej obok szczątków olbrzymiej klausy, czyli sztucznego zbiornika wód służącego do spławiania drzewa.

Całą tę okolicę cechuje niezwykła dzikość. Dziewiczy las, trzęsawiska, doliny zarośnięte burzanami, brak dróg i ścieżek nadają jej charakter pierwotnej puszczy.

Tu mamy nad sobą szczyty rozrosłe w głównym granicznym grzbiecie karpackim. Kruhła mała (1261 m), Gurgulat (1437 m), Menczul (1448 m), grzbiet Gorganu Wyszkowskiego (1448 m) i Busztul (1693 m) ze źródłami Łomnicy.

Przestrzeń między Bystrzycą Sołotwińską a Świcą, dzieli Łomnica na dwie części. W części wschodniej wznosi się opisany już Gorgan ze szczytami Sywuli i Ichrowyszcza. Część zachodnia rozpada się na trzy grupy a to: pasmo Arszyca, Mołoda z Jajkiem i Popadja z Grofą. Prócz tego mamy wprost na południe grzbiet główny górski, o którym już pisaliśmy, którym biegnie granica Polski ze źródłami Łomnicy, stanowiący odrębną całość.

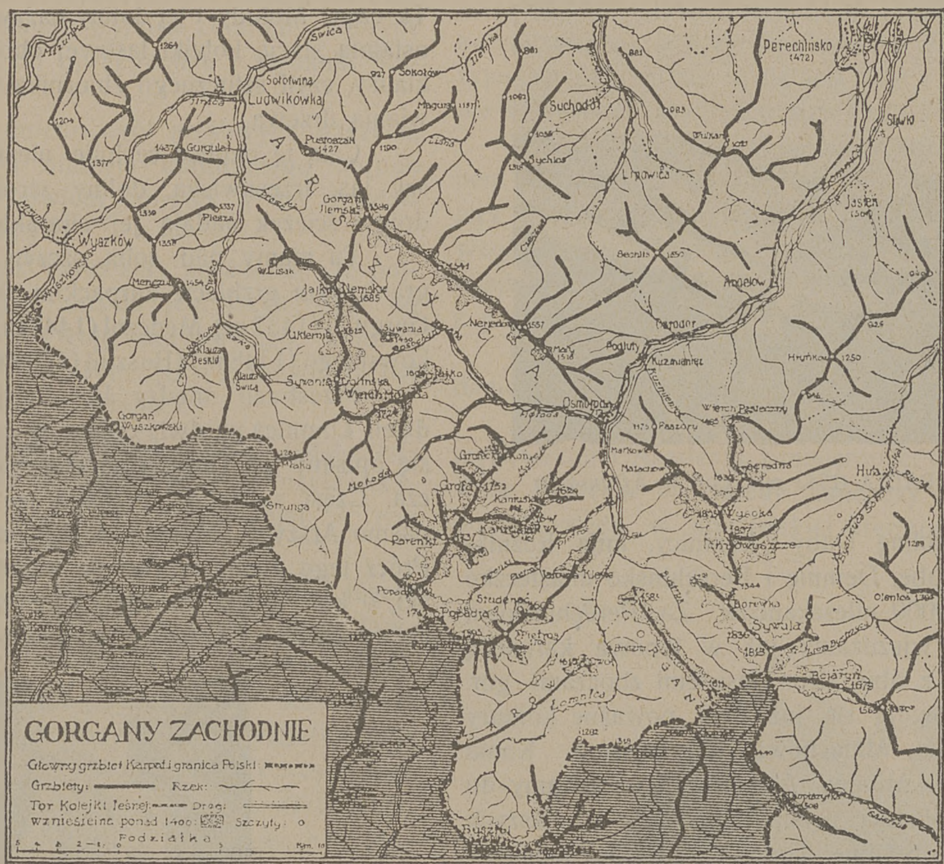


GORGANY: WODOSPAD BUCHTOWIEC
Fot. Cz. Łęczkowski

Pasmo Arszycy ciągnie się w stronę południowo-zachodnią wprost z Osmołody i Podlutego w linji prawie prostej na przestrzeni 25 km. i dochodzi do Ludwikówki i Mizunia w dolinie Świcy. Wracając od tej rzeki napowrót ku Łomnicy, pierwszym wyższym szczytem jaki wi-

dzimy, jest Pustoszak (1427 m), drugim Gorgan Ilemski (1589 m), dalej idą Neriedów (1557 m) i Mały (1516 m), zkąd Arszyca opada już ku Osmołodzie. Południowo-zachodnie stoki Arszycy ogranicza dolina Prawicza dopływu Świcy z jednej, a Mołody i Mszany z drugiej strony, dział wód który tworzy grzbiet łączący Gorgan Ilemski z Jajkiem Ilemskiem. Mamy tu przełęcz łączącą Osmołodę z Ludwikówką, tereny łowieckie Perehińska, Suchodołu z terenami łowieckiemi Wełdzirza.

Wełdzirz to głośne też w łowiectwie karpackiem imię. Wielkie latyfundium (około 36.000 hk.) nie w naszych niestety oddawna rękach jest mimo przebytych klęsk wojennych, najbogatszym może w zwierzynę grubą (jelenie i niedźwiedzie) terenem w Karpatach. Zawdzięczać to należy wysokiej kulturze na jakiej postawili dawni właściciele Wełdzirza tam myśliwstwo i troskliwej opiece, jakiej doznaje tam zwierzyna ze strony Zarządu. Ze znacznej części tych rewirów stworzono rezerwat, gdzie od lat zwierzyna nie strzelana podnosi się jakościowo i rozradzając się szybko, zasila sąsiednie zwierzostany.



Grupa Mołody i Jajka Ilemskiego rozciąga się na trójkątnej przestrzeni 16 km., której wierzchołek tworzy ujście Prawicza do Świcy. Bok jej północno-wschodni tworzą potoki Prawicz i Mszana, południowy Mołoda, zachodni zaś Świca. Głównym tu szczytem jest Kruhła Młaka (1261 m). Tu rozpoczyna się dział wód między Łomnicą i Świcą. Idąc grzbietem ponad dolinami Świcy i Prawicza wspinamy się wciąż w górę, mijamy mniejsze lesiste szczyty Tarnicy (990 m), Małego Lisaka (1231 m) i Wielkiego Lisaka (1482 m), mijamy górną granicę lasu, idziemy połoniną bujną porosłą trawą i po drobnym Gorganie po pod kosodrzewinę wychodzimy na szczyt Jajka Ilemskiego (1685 m) zkąd przepyszny na wszystkie strony roztacza się widok. Widzimy stąd wokoło całą panoramę Gorganów, dolinę Świcy i Mszany, ku północy barwną płaszczyznę Podkarpacia. Idąc ku północo-wschodowi, przeszedłszy przez przełęcz Sołotwinkę stajemy pod najwyższem w tej grupie wzniesieniem Wierch Mołoda (1723 m). Ostatniem wzniesieniem już nad doliną Mszany jest Jajko małe (1600 m).

Trzecią wreszcie grupą leżącą po lewej stronie Łomnicy jest Popadja z Grofą.

Zajmuje ona przestrzeń między dolinami Mołody, Łomnicy i głównym grzbietem Karpat. Najefektowniejszym, choć nie najwyższym szczytem w tej grupie jest Popadja (1742 m), zawdzięczając to swemu odosobnionemu położeniu. Dalej mamy tu szczyty Popadję małą (1603 m), Parenki (1731 m) z prześlicznym wodospadem, najwyższy. Grofę (1752 m), Konia Grofeckiego (1557 m) i oba Kanusiaki, Wielki (1647 m) i Mały (1624 m).

W drugiem rozgałęzieniu w tej grupie nad dolinami Pietrosa i Darowa wznoszą się szczyty Koretwyna (1674 m), Pietros (1708 m), Studenec (1605 m) i Jałowa Klewa (1563 m).

Najpiękniejszemi szczytami w tej grupie są Popadja i Grofa. Z Popadji rozlega się wspaniały widok na całą panoramę wschodnich Karpat, widać z niej Czarnohorę, Karpaty Marmaroskie, wzrok widza sięga aż do późnem latem uśnieżonych jeszcze szczytów Alp Rodniańskich, strzegących północnej granicy Siedmiogrodu. Grofa daje też wspaniały widok, szczególnie na północne strome pokotłowane stoki Parenek. W tej grupie najlepiej zachowały się limby, szczególnie na stokach Grofy i Parenek, gdzie mamy całe ich lasy.

Gorgany są po Tatrach najpiękniejszym zakątkiem Polski z tą jeszcze różnicą, że gdy w Tatrach człowiekowi coraz to ciaśniej, tu panuje jeszcze niczem nie zamącona cisza i spokój. Nie spotkasz tu tygodniami człowieka nie ujrzysz osady ludzkiej. Tu szumi puszcza na cześć dzikiego życia, a czar pierwotności obejmuje jestestwo przybysza, koi duszę jego i nerwy wśród wspaniałej górskiej przyrody.

Wojna jednak pozostawiła tu ślady psujące te górne wrażenia, przyczyniła się zato do uprzystępnienia gór. Na prawym szczególnie brzegu Łomnicy mamy teraz z czasów wojny wygodne ścieżki, wyprowadzające na szczyty, zbocza i grzbiety.

4. Bieszczady

Minąwszy dolinę Świcy i jej dopływu Mizunki i urocze rewiry myśliwskie Mizunia spostrzegamy odrazu zgoła

odmienny krajobraz. Nikną z naszych oczu nagie kamienne kopuły szczytów, nikną stoki skaliste, niknie kosodrzewina i limby. Szczyty niższe, łagodne, szumią na nich jodły, błyśnie na grzbiecie gdzieniegdzie wąska połonina, a na stokach górskich rozpościerają swe panowanie buk i świerk.



BIESZCZADY: PIKUT. (1405 m.)

Lasów starych prawie niema, połacie zrębów lub partje pięknych kultur szpilkowych mówią o planowem gospodarstwie lasowem. Sioła nie rozrzucone jak na Huculszczyźnie, lecz skupione wtłaczają się często w wąskie doliny, leżące u stóp najwyższych szczytów. Pryska i rozwiewa się czar pierwotności. Jęczą syreny licznych tartaków, świszczą kolejki górskie. Góry są więcej dostępne tak dla myśliwego, jak i dla turysty. Istnieją też w Bieszczadach pierwszorzędne rewiry myśliwskie, jak idąc od wschodu rządowe: Sołotwina mizuńska i Polanica, prywatne: Skole, Smorze i na zachód od nich leżące wielkie obszary br. Liebiga.

Wsie wśród Bieszczadów zamieszkują ruscy górale zwani Bojkami, nieodznaczający się jakąś odrębną indywidualnością ani w sposobie życia i stroju, ani też wyglądem. Wyraz Bojko pochodzi z wołoskiego boj (wół) i oznaczał bezwątpienia wolarza, t. j. pasterza lub hodowcę wołów, a w górach Sanockich zowią górali wolarzami.

Najważniejszemi szczytami w Bieszczadach są: Paraszka (1271 m) widoczny w dnie pogodne z kopca Unji Lubelskiej we Lwowie. Potrójny ten szczyt dominuje nad doliną Stryja i Dniestru i wznosi się na zachód od Skolego. Nazwa jego pochodzi od Paraszki córki ruskiego księcia Światosława, która według legendy tam jest pochowana. Zelemin (1167 m) nad samem Skolem. Z tym szczytem na wschód łączy się grzbiet z Kodrawcem (1240 m) i Mudnym (1262 m). Trościaniec (1235 m) na wschód od Sławska. Magura czyli Łysiak (1265 m). Na granicy państwowej stoją Jawornik wielki (1123 m), Jawornik mały (1017 m) ze źródłami Oporu i Stryja, wreszcie Pikuł (1405 m) najwyższy szczyt w polskich Bieszczadach, kopulasty wierzchołek, opadający prostopadłemi ścianami ku południowi. Nie daleko stąd ku wschodowi już w Czechosłowacji w grupie Borżawy wznosi się Stoh (1679 m) najwyższy szczyt Bieszczad.

W zachodnich Bieszczadach już nad doliną górnego Sanu mamy szczyt Halicz (1335 m), Bukowe Berdo (1313 m) i Tarnie (1348 m).

Stajemy nad granicą zachodnią Bieszczad. Dalej ku zachodowi płyną mało topograficznie od nich się różniące pasma Beskidu, coraz to niższe i niższe, aby hen w dali na granicy już południowo-zachodniej państwa Polskiego wystrzelić nagle w niebo granitami Tatr.

Ale zawróćmy raz jeszcze ku wschodowi i zatrzymajmy się choć na chwilę w najpiękniejszej partji Bieszczad, nad dolinami Stryja i Oporu. Dostać się tam najłatwiej koleją żelazną Stryj-Ławoczne lub pysznym gościńcem biegnącym wzdłuż kolei do Skolego. Za Skolem, gościniec zwraca się na południowy zachód i biegnie przez Koziowę i Klimiec ku dolinie Stryja, którą przecina pod granicą państwa. Linia kolejowa trzyma się wciąż doliny Oporu i minąwszy Ławoczne wpada na stację Beskid w tunel 1847 m. długi, z którego wychodzi już za granicą Polski.

Minąwszy stacyjkę Dębina nazwanej od lasu dębowego widocznego z prawej strony kolei, wjeżdżamy w wąwóz górski, zwany Kłódką, tak wąski, że ledwie w nim kolej i Opór pomieścić się może. Wyjeżdżamy z niego w szeroką dolinę zamkniętą od południa grzbietem Zełemina (1167 m.). W niej rozsiadło się Skole, najpiękniejsze i najschludniejsze miasteczko w Rzeczypospolitej.

Za Zełeminem na lewo mamy Magurę, która prawie o 100 m. jeszcze wspomnianą Paraszkę przewyższa (1365 m.), dalej pasmo Sekulskie ze szczytem Czyrak (1283 m.), już na granicy wznosi się Czarna Repa (1288 m.), Błyściec dwuszczytny (1093 i 1222 m.), wreszcie wiecznie zielony Jawornik wielki (1123 m.) i Jawornik mały (1017 m.), zkąd wypływa Stryj, Opór, Rożanka i Sławka.

Skole wielka ta połać borów i gór (36.000 hekt.), własność br. Groedlów, było przed wojną światową najwspanialszym rewirem myśliwskim w Karpatach, ba, może nawet i w Europie. Dzięki olbrzymim środkom pieniężnym, jakich nie szczędzili właściciele Skolego, było ono wielkim naturalnym zwierzyńcem jeleni w naszych górach. Na rykowisko w Skolem zjeżdżali rok w rok najrozmaitsi wielcy myśliwi europejscy, książęta krwi i blisko nich stojący potentaci. Na dowód ile było tam jeleni,



DOLINA OPORU W HREBENOWIE.

mogę podać, że spotykałem w gorszych rewirach po 40 i więcej sztuk na każdym podchodzie. Jedyny to rewir karpacki, który dzięki intenzywnemu karmieniu zwierzyny i pieczy, jakiej ona tam doznawała, oparł się strasznej

zimie w r. 1906 na 1907, mimo, że znaleziono po niej padłych 500 sztuk (w okrągłej cyfrze) jeleniego rodu. Polując w następnych latach w Skolem, nie mogłem jednak w ilości zwierzostanu wielkiej dopatrzeć się różnicy. Przetrwał on zwycięzko i całą wojnę światową, mimo, że w górach skolskich długie i straszne w r. 1915 odbywały się walki. Dopiero wojna domowa polsko-ruska przyniosła zwierzynie zagładę. W Skolem, Polanicy i Kruszelnicy wystrzelali ją w pień ukraińscy heroje, a po uspokojeniu zaopatrzeni w broń chłopi. Dzisiaj dzięki staraniom właścicieli, skolskie rewiry wracają do dawnej świetności. Około 200 jeleni zanotowano ryczących na rykowisku w r. 1926, a w jednym tylko rewirze Rożance żyje znanych 22 niedźwiedzi.

Wspaniałym również terenem myśliwskim był i jest już znowu dzisiaj, graniczący ze Skolem rewir rządowy Polanica.

Nad granicą czechosłowacką leży rewir Smorze i Klimiec, własność fundacji St. hr. Skarbka. I tam po przebytych klęskach zwierzyna powraca do dawnego świetnego stanu. Tuszyć można, że w niedalekim już czasie Karpaty nasze, jak długie i szerokie, będą znów tem Eldoradem myśliwskiem, o którem marzyć będą nietylko polscy, ale i światowi myśliwi.

Dok. nast.



J. WŁ. KOBYLAŃSKI

O NASZYM ZWIERZYŃCU W POZNANIU

Zwierzyniec a raczej Ogród Zoologiczny w Poznaniu, jak brzmi jego oficjalna nazwa — jest jedyną sui generis instytucją kulturalną w Polsce, godną zainteresowania i jak najszerszego poparcia bez najmniejszych zastrzeżeń. Pożyteczna ta i zdobywająca sobie czem raz większy rozgłos nietylko w Polsce, lecz i zagranicą instytucja, istnieje bez jakiejkolwiek subwencji rządowej, prowadząc ustawiczną walkę z biedą finansową. Dzięki jednak ofiarnej pracy nielicznych jednostek i zainteresowaniu się pewnej części społeczeństwa — zwierzyniec w rozwoju swoim kroczy naprzód.

Nader wydatną pomoc udzielić można zwierzyńcowi w postaci nadsyłania żywych okazów. Niejeden byłby to już zapewne uczynił, brak jednak wskazówek, jak należy wysyłać żywe zwierzęta, stawał na przeszkodzie w realizacji szlachetnych zamiarów. Oto podaję garść niezbędnych informacyj w tej sprawie.

Wszelkie zwierzęta przesyłać najwygodniej w odpowiedniej klatce lub skrzynce, niefrankowaną przesyłką pospieszną, pod adresem: „Ogród Zoologiczny w Poznaniu“. Ministerstwo kolei wyznaczyło na wszelkie przesyłki dla zwierzyńca ulgową taryfę. Innych formalności przy wysyłce zwierząt załatwiać nie potrzeba. Konwojent byłby tylko wtenczas potrzebny, gdyby chodziło o wielkie zwierzęta lub ich większą ilość. Skoro się zwierzę przed wysłaniem dostatecznie nakarmi i do klatki jeszcze karmy włoży, to karmienie podczas transportu jest zbyteczne. Nie zaleca się przesyłania lisów, borsuków, sarn i jeleni z dalekich stron kraju, ponieważ okazy te otrzymuje Zoolog z najbliższej okolicy w dostatecznej ilości.

Do pracy więc. Niechaj każdy myśliwy w Polsce pomny będzie tego, że obowiązkiem jego jest dołożyć choćby skromną cegiełkę do ugruntowania budowy zwierzyńca w Poznaniu. Non multa sed multum.



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

CZAROWNIK WŚRÓD POCZCIWYCH ŁEMKÓW

Niecodzienne wrażenia z lat dziecięcych odżywają silnie w przyszłości, a tem silniej im więcej „krzyżyków“ Opatrzność Boża włożyła na barki człowieka.

Jako uczeń szkoły powszechnej w Busku koło Lwowa, miałem nauczyciela Sobotowskiego, którego widzę dokładnie w mej pamięci, jak jednego razu będąc z dziatwą szkolną na wycieczce w lesie, zjawił się nagle wśród niej z długim wężem zaskrońcem, którego okręcił dokoła własnej szyi. Chwilowy strach i długotrwały podziw ogarnęły drobiazg szkolny. Odwaga nauczyciela zaimponowała mi i odtąd zrodziła się we mnie myśl bliższego poznania wężów. Teorję w tym kierunku dała mi książka, praktykę zaś życie.

Jako dziesięcioletniego chłopaka, po przejściu ostrego zapalenia płuc, wysłali mię rodzice w Karpaty, między Łemków, gdzie zamieszkałem u krewnych w budynku stacyjnym Szczawne-Kolaszne. Wtedy po raz pierwszy ujrzałem nasze ukochane Karpaty, ich piękne strumienie, ich florę i faunę. Całe dnie spędzałem na poszukiwaniu wężów i obserwacji ich trybu życia. Nałowiłem moc zaskrońców, jeszcze więcej padalców, a nawet udało mi się żywcem złowić typową żmiję zygzakowatą (Pelias berus), którą przyniosłem na rozczepionym kiju ku niemałemu zdziwieniu domowników.

Po dwumiesięcznej wilegjaturze wracałem w doliny, do domu, wioząc ze sobą rzecz cenną: dwa oswojone padalce (Anguis fragilis) o miedzistym połysku. Te poczciwe i niewinne zwierzęta tak przywykły do mnie, że znały nietylko dokładnie mój głos, ale poznawały mię nawet po chodzie, gdym im niósł owady i ślimaczki na obiad. Nocą zaś spały stale ze mną na jednem łóżku, wsuwając się pod umyślnie przygotowany dla nich „jasiek“.

Niespodziewane rozstanie się z tymi padalcami jest mi do dziś tajemnicą. Nie wiem, czy im się nie podobała zmiana miejsca, czy też otoczenia i powietrza, dość, że w kilka dni po powrocie, budząc się rankiem, nie znalazłem moich przyjaciół-jaszczurek*) w łóżku. Przeszukałem dom cały, przewróciłem mój pokój wraz z łóżkiem do góry nogami; padalce szczezły po dziś dzień. Przypuszczalnie nocą wyśliznęły się z łóżka na podłogę i wcisnęły się w jedną z mysich dziur, których było kilka w moim pokoiku.

Odtąd minęło lat wiele i przypadkowo tylko spotykałem węże. Czasem przynoszono mi je, bym wydał orzeczenie o szkodliwości danego gada. Nawiasem wspomnę tu, że wśród długiego szeregu wężów spotkałem w moim życiu tylko dwie żmije.

*) Padalec należy do rodzaju jaszczurek, a nie do wężów.

Lipiec b. r. spędziłem w Karpatach, wśród Łemków, w małej wiosce Duszatynie (pow. Sanok), liczącej zaledwie 20 chałup. Napotkałem tu bardzo wiele wężów, których ludność tutejsza obawia się jak rzeczy przeklętej i niesamowitej. Gdym jednego dnia niósł w gołej ręce dwa węże, zdążając przez wieś do domu, zauważyłem, że chłopi, baby i dzieciska zdaleka ustępowały mi z drogi, patrząc z przerażeniem na węże, a z większem jeszcze podziwem i niedowierzaniem na mnie, wołając zdaleka głośno: „Sława Isusu Chrystu!“ W słowach tych brzmiała wielka trwoga tych ludzi, pędzących tu jeszcze żywot niemal dawnych troglodytów.

Pewnego poranka, gdym się gotował do wyjścia z mej „budy“, wpadła do mnie żona tutejszego kramarza Witka, u którego mieszkałem, mówiąc: „Niech pan idzie! Za chałupą trzymają chłopi wielkiego węża!“ — Pobiegłem. I oto mym oczom przedstawił się oryginalny widok. Jeden ze starszych Łemków trzymał trzymetrową żerdzią przyciśniętego do ziemi węża; z zachowania tego chłopa widziałem, że pragnął, by ta żerdź jak najbardziej wydłużyła się w jego rękach. W odległości jakich ośm metrów od niego stali rozstawieni w koło dwie baby i trzech parobczaków, wszyscy uzbrojeni w drągi, jakby jaka wyprawa na wilka, który się wdarł do obory z trzodą.

Pomimo rad i przestróg, bym się nie zbliżał bez kija — podszedłem, a zobaczywszy rzecz zbliska, chwyciłem węża ręką. W tej chwili wszyscy, co w pobliżu byli, poczęli uciekać, wzywając przy tem Boga, by mnie ewentualnie cało zachować raczył. Był to wielki wąż wodny, który wyszedł na słońce z pobliskiego strumienia. Odtąd w oczach tutejszej ludności stałem się człowiekiem mającym styczność z nieczystemi siłami; stałem się czarownikiem. Gdym jednemu z obecnych zaproponował, by tego węża wziął do ręki, tak jak ja — upewniając go przytem, że nic mu nie zrobi, gdyż nie jest jadowity (na potwierdzenie czego sam wkładałem palec w paszczę węża) — obiecując mu za to „bohaterstwo“ 2 złote, ten odrzekł: „I za sto zołotych ne wozmu!“ i w nogi przez wieś.

Ludność ta nie dała się niczem przekonać i wierzyła uporczywie, że to tylko mnie specjalnie te gady nic złego nie robią; gdyby natomiast ktokolwiek z nich wziął węża do ręki — na pewno zmarłby. W rozumowaniu

bowiem tutejszych mieszkańców każdy „gad" kąsa i przynosi nieodwołalną śmierć.

Godność „czarownika" w oczach tutejszych poczciwych Łemków przypieczętowałem tym faktem jeszcze, że żaden z tych gadów niczego złego mi nie zrobił, jakkolwiek z kilkunastu większych wężów osobiście zdejmowałem skórkę. Skórki te naciągnięte na kije suszyłem pod ścianą mego domu, który stał się celem wędrówki ludności, podziwiającej moje „trofea", zdobyte bez najmniejszej zemsty ze strony gadzin...

Ludność tutejsza grzeczna, przechodnia zawsze pozdrowi. Odczuwałem zbyt wyraźnie, że w stosunku do mnie, prócz ich grzeczności odgrywała rolę obawa przedemną jako czarownikiem...

Ciekawy kwiatek cywilizacji europejskiej XX. wieku.

Zaiste, wiele jeszcze chwil przeminie zanim każdy Łemek zamieszka w chacie z kominem, a jeszcze więcej wody upłynie w ich Osławi, zanim każdy z nich stanie się „czarownikiem".



Echa jubileuszowe.

Do zdjęcia udzielonego nam łaskawie przez Szan. Redakcję „Sportu", które zamieściliśmy w grudniowym numerze „Łowca", dodajemy dziś — z upoważnienia powyższej Redakcji — również i jej artykuł (nr. 196) p. t.:

MYŚLISTWO.

Rzadki jubileusz. Lwowskie Towarzystwo Myśliwskie im. św. „Huberta" we Lwowie święciło w dniu patrona łowiectwa, św. „Huuberta", uroczystość swego 50-letniego istnienia. Założone w r. 1876 z inicjatywy seniora naszych kresowych i karpackich myśliwych, Seweryna Krogulskiego, mające swe świetne czasy w latach 1884—1914, gdy dzierżawiło ogromny obszar łowisk fundacji hr. Skarbka, tereny OO. Dominikanów i hr. Potockiego, podupadło zupełnie z powodu wybuchu wojny i utraty wszystkich prawie terenów. Dźwigać się zaczęło z powrotem pod prezesurą gen. Jędrzejowskiego i dziś podnosi się pod przewodnictwem Prof. Dra Tad. Obmińskiego; czcząc zaś uroczyście swój jubilelusz, daje „Hubert" dowód swej żywotności i ochoty do pracy na niwie polskiego łowiectwa.

Jubilatowi „Szczęść Boże" w Jego dalszej pracy.

Korespondencje

K. STRZEMIĘ

Umieszczony w Nr. 11 „Łowca", artykuł pana Alberta Mniszka zatytułowany „Normalny stan sarn w rewirze i odstrzał siut", jest mi w dwóch zdaniach niezrozumiały, a mianowicie nie rozumię: 1. dlaczego tak kozłowi, jakoteż i kozie należy się kula i 2. dlaczego, strzelanie w zimie kozłów w rewirach nizinnych, jest w dzisiejszem pojęciu myśliwskiem, barbarzyństwem"?

Tradycje łowieckie i zapatrywania pierwszorzędnych naszych myśliwych po koniec XIX. stulecia i później stoją tak z pierwszem, jakoteż i z drugiem zdaniem w sprzeczności.

Zdaje mi się, że nie będzie nielogicznem twierdzenie, że do lwa strzela się nie dlatego wielkokalibrową kulą, że on jest królem puszczy, a więc dla honoru należy mu się kula, ale dlatego, że tylko taką kulą można go zabić.

Kula, należy się każdemu zwierzęciu, które tylko kulą zabić można, a strzał śrótem, tylkoby je bezcelowo kaleczył. Sposób polowania na sarny znany mi jest, nietylko z pamiętników pisanych, ale i z pamiętników żywych, z opowiadań starych myśliwych i wreszcie z mego sześćdziesięcioletniego osobistego doświadczenia:

Około 100 lat temu, kiedy to strzelano z broni skałkowej, a po jej ulepszeniu ze strzelb pistonowych, a więc w czasach, gdy ówczesna broń pod względem siły i odległości strzału, nie mogła iść w porównanie z dzisiejszą bronią, strzelano do sarn wyłącznie śrutem.

Przed oznaczeniem rodzajów śrótu, numerami, oznaczano śrót nazwą zwierzyny, do zabicia której miał posłużyć. I tak naprzykład był śrót kaczy, zajęczak, sarniak. Sarniakiem, a więc śrótem, strzelano do sarn. Nikt nie twierdził, że sarnie należy się kula, bo śrót w zupełności wystarcza do jej zabicia.

Tego zdania byli ci, którzy uczyli nas myślistwa i etyki myśliwskiej.

Tacy myśliwi jak ś. p. Włodzimierz hr. Dzieduszycki, Artur hr. Potocki, Leopold hr. Starzeński, Kazimierz hr. Wodzicki, Aleksander Hulinka, Stanisław hr. Stadnicki i wielu innych, zajmujących w myślistwie pierwszorzędne miejsce, strzelali, w zimie śrótem kozły bez rogów.

Mam pod ręką dawne roczniki „Łowca" w których czytam. W Lisowicach padło w ciągu lat 12 kozłów 363. W sezonie 1882/3 kozłów 47 („Łowiec" Nr. 3 z roku 1883). Strzelano przeważnie śrótem. Zespół lisowicki tworzyli najwybitniejsi nasi myśliwi, tak, że ten zespół uważać się musiało za akademię myśliwską. W Nowosiółkach u Kazimierza hr. Badeniego zastrzelono 13 rogaczy. Na polowaniu byli Artur Potocki, Ludwik Wodzicki, Ostrowski Zdzisław Skrzyński, Koźmian („Łowiec" Nr. 2 z roku 1884).

W dniach 16, 17, 18 i 19 stycznia 1884 zastrzelono u Stanisława Badeniego 35 rogaczy. („Łowiec" Nr. 2 z roku 1884).

W grudniu 1883 na polowaniu u p. Jana hr. Tarnowskiego w Dzikowie, zastrzelono w 3 dniach 25 kozłów („Łowiec" Nr. 2 z roku 1884).

Dnia 21, 22, 23 i 28 stycznia 1884 polowano u Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego w ordynacji Poturzyckiej. Ubito 20 dzików, 16 rogaczy, 96 zajęcy, 7 lisów („Łowiec" Nr. 3 z r. 1884).

Zdaje mi się, że ani gospodarzy tych polowań, ani uczestników tych łowów, strzelających śrótem w zimie kozły bez rogów, trudnoby uważać za barbarzyńców.

Czyż w międzyczasie opancerzyły się kozły takim pancerzem, do przebicia którego potrzeba koniecznie kuli.

Że się do rogacza na podjeździe strzela kulą, to uważam za całkiem słuszne. Strzela się zazwyczaj na metę przechodzącą 40 metrów, nieraz w drągowinie. Strzela się na czarnej stopie, gdzie bez psa, odszukanie, mało broczącego postrzałka, jest prawie niemożliwe, podczas gdy postrzałek po kuli, znacznie więcej farbuje — no i strzela się do zwierzyny stojącej. To są zdaniem mojem słuszne powody, że na podjeździe strzela się kulą. Gołosłownego, ogólnego twierdzenia „że kozłowi należy się kula“, ja uznać nie mogę.

Strzelanie kulami do zwierzyny, do której zastrzelenia wystarcza śrót, jest sportem, jest chęcią popisania się swą sztuką strzelecką. Nic nie mam przeciw temu. Kto chce, niech kulami strzela, nietylko do kozłów, ale i do zajęcy, ale niech nikt nie twierdzi, że kozłowi należy się kula, bo takie twierdzenie nie ma słusznej podstawy. Jako sprzeczne z etyką myśliwską uważam lekkomyślne strzelanie do kozłów, gdzie z góry można przewidzieć, jedynie skaleczenie, a nie zastrzelenie. Często powtarzane przez tych, którzy strzelają na każdą metę, zdanie „mnie nabój“ — jemu życie“, jest mojem zdaniem, grzechem myśliwskim.

Do zwierzyny łownej nie wolno lekkomyślnie strzelać ani kulą, ani śrótem.

Przytoczone powyżej wyniki polowań udowadniają również, że strzelanie do rogaczy bez rogów podczas polowań zimowych nie było uważane za barbarzyństwo, lecz było rzeczą normalną.

Życzyćby sobie należało, aby każde pokolenie wydało ze siebie takich myśliwych, jakimi byli ci, których imiona i nazwiska wymieniłem wyżej. Wszyscy oni strzelali na zimowych polowaniach kozły bez rogów. Czy my dziś mamy w swem gronie takich myśliwych jak ś. p. pp.: Włodzimierz Dzieduszycki, Artur Potocki, Józef Potocki, Kazimierz Wodzicki.

Za ich to inicjatywą, walczymy od przeszło 50 lat o to, aby łowiectwo nie było uważane za rozrywkę klasy uprzywilejowanej, lecz za część bogactwa i gospodarstwa krajowego, przynoszącego właścicielowi dochody, powiększającego zasoby artykułów spożywczych. Polowanie jedynie dla zrobienia kollekcji rogów, polowanie na rogi, to nie gospodarstwo krajowe, to tylko sport — obniżający znaczenie łowiectwa. Strzelanie kozłów na zimowych polowaniach, nie przeszkadza bynajmniej robieniu kollekcji rogów, gdyż ustawa łowiecka otwiera polowanie na kozły z dniem 1. czerwca. Jeżeli więc posiadacz polowania jest kollekcjonistą rogów sarnich, to może zebrać tę kollekcję polując na kozły w lecie na podjazd.

W uregulowanem gospodarstwie łowieckiem, wie straż łowiecka, jakie są kozły w rewirze i jakie mają rogi. Jeżeli zatem są w rewirze okazy rogów godne kollekcji, to można je łatwo odstrzelić.

Zresztą, aby dalej w tej sprawie dysputować, musimy się zasadniczo zgodzić z tem, czy polowanie jest gałęzią gospodarstwa krajowego, czy tylko sportem, bo dwóch podstaw do rozumowania mieć nie można.

Jeżeli polowanie na rogacze jest tylko sportem, to ja milknę i przyznaję pełną rację tym, którzy polują tylko na rogi. Jeżeli jednak to polowanie jest częścią gospodarstwa krajowego, którego celem jest, przez racjonalną łowiecką gospodarkę powiększać stan łownej zwierzyny, a przez to powiększać dochody właściciela polowania, to ja, nie będąc wcale przeciwnikiem polowań na rogacze na podjazd i rozumiejąc dobrze, że myśliwy pragnie mieć kollekcję rogów, ten pamiętnik jego życia myśliwskiego, stanowczo twierdzę, że polowanie w lecie, podczas rui, na kozły nie leży w interesie gospodarki łowieckiej. Wogóle, wychodząc ze stanowiska racjonalnej rozmowy łownych zwierzostanów, to wszelkie polowania w czasie jej godów weselnych, a to tak polowanie podczas rykowiska na jelenie, jakoteż podczas rui sarn i podczas toków głuszców i cietrzewi — jest dla rozmnoży szkodliwem. Odebraliśmy zwierzynie, przez wprowadzenie do myślistwa broni dalekonośnej, opatrzonej lunetą, jedyną broń jaką miała dla swej obrony, a to wzrok, słuch, powonienie. Jeszcze nam tego za mało. Polujemy na nią w onczas, gdy naturalny popęd płciowy, roznamiętnia ją do nieprzytomności, wyzyskujemy tę chwilę, aby ją łatwym trudem życia pozbawiać.

Czy to nie barbarzyństwo?

Polując podczas godów weselnych, zabijamy, najlepsze, najsilniejsze egzemplarze, które natura, ta najlepsza gospodyni świata, przeznaczyła na ojców mających spłodzić, zdrowe, silne pokolenie.

Wszak zastrzelenie na rykowisku, szóstaka, czy ósmaka, jest uważane za skandal łowiecki. Strzela się czternastaki, szesnastaki i wyżej, a więc, najlepsze rozpłodniki. Na podjeździe, nikt nie strzeli do rogacza o lichych rogach, do charlaka, wybiera się najsilniejsze rogacze, bo te mają zazwyczaj najlepsze rogi, a więc strzela się wyłącznie te sztuki, które ze względów hodowlanych powinne być ochraniane, a zostawia się osobniki, które, jakto słusznie podnosi pan Mniszek, powinne być odstrzelone przed rozpoczęciem się rui, aby nie brały w niej udziału, jako do rozpłodu nieprzydatne.

Nietylko jakościowo, ale i ilościowo, pada rogaczy w tych rewirach, w których poluje się przez 3 miesiące na podjazd, znacznie więcej, jak w kniejach, w których przy jednorazowem w sezonie przepolowania rewiru — strzela się rogacze w zimie. I pod tym względem powołam się na zdanie ś. p. Kazimierza hr. Wodzickiego, który powiedział:

Chów sarn wogóle na mylnych polega podstawach, a paragraf ustawy, zabraniający strzelać kozły z omszałymi rogami, istotną nam szkodę wyrządza (Olejów, 20. kwietnia 1883, „Łowiec Nr. 6 z roku 1883).

Jeżeli jedynym argumentem przeciw strzelaniu rogaczy bez rogów, jest twierdzenie, że kto ubija kozła bez rogów, ten ubija kilkanaście kilogramów mięsa, to ja się pytam, czem jest strzelanie do warchlaków, samur, słabych wycinków, które nie dadzą trofeów myśliwskich.

Trzymając się zasady niestrzelania do kilkunastu kilogramów mięsa sarniego, wypadałoby nie strzelać do kilkunastu czy kilkudziesięciu kilogramów mięsa dziczego, a strzelać tylko do odyńców z ładnymi kłami. Ta sama przecież zasada, co u kozłów, przemawiałaby zatem i u dzi-

ków, boć przecież i z kłów dziczych istnieją zbiory i to bardzo okazałe. Czyż wybijanie warchlaków i wycinków, które z czasem mogłyby wzbogacić te zbiory, jest również barbarzyństwem?

Jeżeli polowanie na rogacze jest częścią gospodarki krajowej, to nie można pominąć rentowności tej gospodarki, której elementarne pojęcia nakazują sprzedawać owoce tej gospodarki, w warunkach najkorzystniejszych, a więc w czasie największego popytu. Czyż lato jest tym czasem?

W lecie, przestaje prawie być mięso jeleni i rogaczy artykułem handlu szerszego i jest raczej towarem lokalnym, już choćby dlatego, że ciepła pora jest powodem bardzo prędkiego psucia się mięsa, które w lecie nie wytrzymuje nawet 3-dniowego transportu. Zresztą popyt na sarninę jest w lecie minimalny. Mięso zastrzelonych w czasie rykowiska jeleni jest nie do użycia, gdyż cuchnie odrażająco.

Jakżesz inaczej przedstawia się ta sprawa w zimie. Popyt na sarninę ogromny, a więc cena najwyższa, a kozły, które w zimie wytrzymują wszelkie transporta, są artykułem i handlu zagranicznego.

Już słyszę głosy: „Ależ to pisze nie myśliwy, ale handlarz mięsa"

Te głosy mnie nie odstraszą, bo kto bez blagi, ale racjonalnie i konsekwentnie zastanowi się nad tą sprawą i naprawdę traktuje polowanie, nietylko jako przyjemność, ale i jako gałąź gospodarki krajowej, ten musi mi przyznać rację, gdyż albo twierdzenie, że łowiectwo jest gałęzią gospodarki krajowej jest blagą, albo twierdzenie, że strzelanie do kozła bez rogów jest barbarzyństwem, nie ma słusznej podstawy.

Dobrym gospodarzom łowieckim, dobrym myśliwym, zależeć musi na tem, aby ta gospodarka ulepszała ilościowo i jakościowo stan łownej zwierzyny. Czy odpowiednj odstrzał kozłów ma się odbywać w lecie, gdy kozły mają rogi, czy w zimie na polowaniach gremialnych, to decyzję w tym względzie zostawmy posiadaczom polowania, nie wkraczajmy, nie mając ku temu żadnej racji w prawa domowe gospodarza i nie piętnujmy tych myśliwych, którzy z jakiegobądź powodu strzelają w zimie kozły bez rogów, mianem barbarzyńców, bo do tego nie upoważniają nas ani tradycja, ani słuszne rzeczowe dowody.

* * *

Pozwalam sobie odpowiedzieć Sz. Autorowi powyższej korespondencji na Jego wątpliwości co do słuszności twierdzenia zawartego w moim artykule z Numeru 11 „Łowca" w sprawie odstrzału rogaczy i kóz kulą i odstrzeliwania rogaczy w zimie śrutem.

Co do pierwszego postawionego przez Sz. Autora pytania: *dlaczego tak kozłowi jak i kozie należy się kula?*, to zdaje mi się, że zachodzi między Nim a mną tylko nieporozumienie. Sam sz. Autor w swym artykule przyznaje słuszność strzelania rogaczy na podjeździe, czy podchodzie kulą. Kozy jałowe i nadliczbowe odstrzeliwuje się też *tylko w ten sposób*, a nie na nagonkach. Jeżeli się poluje na rogacze z nagonką, to uważam i ja też strzelanie ich śrutem za jedynie wskazane, gdyż strzelanie do nich kulami, ze względu, że sarny zwykle przed samą nagonką wychodzą, jest nader niebezpieczne i często niemożliwe, chyba, że przyjmie się za zasadę strzelania ich tylko za linią, gdy z miotu wychodzą.

Natomiast z krytyką mego twierdzenia, że strzelanie rogaczy w rewirach nizinnych łatwo dostępnych, gdzie rogacze osadzają ładne rożki w dzisiejszem pojęciu myśliwskiem jest barbarzyństwem, stanowczo zgodzić się nie mogę i twierdzenie to moje dalej podtrzymuję w nadziei, że w niem odosobniony nie będę.

Sz. Autor cytuje starych minionej doby wielkich łowców, co strzelali rogacze bez rogów w zimie. Ja dalej pójdę, nasi dziadowie a nawet może i ojcowie jeszcze strzelali i kozy, a na sarny polowali z gończakami, mimo to barbarzyńcami nie byli, gdyż w ich ówczesnych pojęciach myśliwskich było to rzeczą zupełnie zwykłą i naturalną. Ale wszystkie poczynania ludzkie, umiejętności, sztuki, prace gospodarcze, nawet etyka podlegają ewolucji pojęć. I łowiectwo w biegu wieków, a nawet tylko lat tej ewolucji podlega. Co do archaicznej cytowanej przez Sz. Autora numeracji, a raczej nomenklatury śrutu jak sarniak, zajęczy, kaczy etc., to pozwolę sobie zauważyć, że ta żadnego nawet wówczas usprawiedliwienia nie miała. Dlaczego strzelano do sarny jakimś specjalnie grubym śrutem, kiedy tak łatwo i dzisiejszym numerem 8-ym (austr. num.) ją położyć!? Z dobrej broni nikt dzisiaj grubszym śrutem prawie że nie strzela. Były to pojęcia ówczesne, które też z biegiem lat zupełnie się zmodernizowały.

Za mojej pamięci (a nie jestem jeszcze wiekowym starcem) polował ś. p. ojciec mój w Ołyce na łosie bez łopat w zimie. Porę tę usprawiedliwiała okoliczność, że bagna wołyńskie tylko w zimie, gdy zamarzną, są dostępne dla myśliwego i naganki. I padały tam łosie olbrzymy bez łopat i mam do dziś z tych łowów pamiątkę: cztery racice z łosia ubitego przez ś. p. mego ojca. A byli tam prócz Niego nie lada myśliwi, jak ś. p. Ferdynand i Karol Radziwiłłowie, Stanisław i Adam Lubomirscy, Urban Bogusz i inni.

Czy dzisiaj przyszłoby komu z nas, a choćby Im samym, gdyby żyli, na myśl ubić łosia bez łopat, jelenia bez wieńca?

Według dzisiejszych pojęć ubicie kozła bez rogów, nie daje żadnej myśliwskiej satysfakcji, a dzieje się ze szkodą tak dla myśliwego jak i łowiectwa, gdyż kollekcja rogów idzie w pokolenia jako rzecz trwała i ma wartość retrospektywną, staje się dokumentem historycznym łowiectwa. Powoływanie się więc na czasy dawno minione przez Sz. Autora twierdzenia mego zupełnie nie zbija, gdyż inne były pojęcia ówczas, inne są dzisiaj. Nie zgodzę się też z sz. Autorem, co do Jego powątpiewania, czy dziś już nie mamy myśliwych takich jak tych z minionej doby przez Niego cytowanych. Czyżby na nich wymarło już polskie myślistwo? Na szczęście nie! Nie uwłaczając w niczem Ich czci i pamięci, śmiem twierdzić, że w dzisiejszem naszem pokoleniu mamy też im równych, a Tamci gdyby byli, zastosowaliby się też z pewnością do dzisiejszych pojęć o łowiectwie. Sz. Autor cytuje Lisowice, gdzie strzelają rogacze w zimie bez rogów, ale Lisowice to nie rewir nizinny, lecz górski, to wielkie łowy na grubego zwierza. Rogacz tam nie gra wybitnej roli, *strzelają go zresztą dziś wyłącznie w jesieni i tylko wtedy, gdy jeszcze nosi rożki*, czego sam byłem na ostatnich polowaniach lisowickich świadkiem.

Szan. Autor twierdzi, że polowanie w lecie na rogacze nie leży w interesie gospodarki łowieckiej! To twierdzenie Szan. Autora, napełnia mnie zdumieniem. Nie strzela się na podjazdach najsilniejszych sztuk wyłącznie, lecz strzela się te sztuki, które do odstrzału są przeznaczone, a kapitalny rogacz odstrzelony być wtedy może o ile już ma godnego następcę, naturalnie mowa tu o p l a n o w e m g o s p o d a r s t w i e, które da się tylko odstrzałem, a więc wybieraniem planowem pojedyńczych sztuk prowadzić, nigdy masowem strzelaniem na nagonce, gdzie liczba przeznaczonych do zabicia sztuk utrzymać się nie da.

Rogacza z dzikiem tu porównywać nie można, gdyż dzik, czy to warchlak, czy odyniec, jest grubym zwierzem, dlatego też i warchlaka strzelamy kulą, chociaż śrut na nie zupełnie wystarcza,

Nie zgadzam się wreszcie z Sz. Autorem w sprawie rentowności ubijanych w zimie rogaczy. Rogacz to nie zając, za podstawę dochodowości rewiru tak jak zając uważanym być nie może, nie bije się go tysiącami lub setkami, a tych kilka rogaczy ubitych przez lato łatwo też da się spieniężyć jak i kilka ubitych w zimie, jeżeli już chodzi o pieniądz. Przyznaję, że zwierzyna nasza jest także częścią bogactwa krajowego, lecz myślistwo nie może być uważane tylko za przedsiębiorstwo dochodowe, Jest w niem jeszcze i coś innego!

Przypatrzmy się naszym zachodnim sąsiadom. Polowanie w Niemczech, Czechach, na Węgrzech daje ogromne dochody. Ludzie są tam oszczędni, praktyczni, dbają o pieniądz, czy tam od stu lat jakich na myśl komuby przyszło polować na rogacze w zimie, a dlaczego? Pomijając stronę piękną w myślistwie, byłby fakt taki przewróceniem myśliwskiego planu hodowlanego w danym rewirze.

Nie zdzierajmy z łowiectwa ostatniej z szat, w które ubierały je tradycje dawnych naszych pokoleń! Przy całej rentowności jaką ono dać powinne i o jaką dbać musi dzisiejszy hodowca-myśliwy, nie może być ono porównywane z oborą lub wypasem rzeźnych wołów. Gdy skończy się w myślistwie Piękno, skończy się i ono, skończymy się i my myśliwi! *A. M.*

* * *

K. STRZEMIĘ

W Nr. 10 „Łowca“ (za październik 1926) w rubryce „Rawskie powiatowe Towarzystwo łowieckie“, podanem zostało do wiadomości, że książę Paweł Sapieha wezwał towarzyszy myśliwych do puszczania bez strzału zajęczyc i loch.

Ponieważ sprawa ta nie jest lokalną, lecz ogólnej natury, przeto proszę pozwolić mi wypowiedzieć swoje zapatrywania w tej mierze w „Łowcu“.

Co do samic zajęczych, to uważam sprawę ich oszczędzania na polowaniach gremialnych za niewykonalną.

Zewnętrzny wygląd nie daje podstawy do stanowczego uznania biegnącego zająca za samca lub samicę. Ja przynajmniej, a poluję już lat 60, a więc mam dosyć doświadczenia, nie potrafię w biegu rozróżnić zająca od zajęczycy, a myślę, że nie jestem wśród myśliwych, pod tym względem wyjątkiem.

Nie ulega wątpliwości, że zajęczyce twardo dosiadują i że te zające, które zrywają się z pod nóg, to, w bardzo przeważnej części, samice.

Ale ten fakt nie jest bynajmniej dowodem, że zające, które pod sam koniec miotu wychodzą na myśliwych — są zajęczycami.

Myliłby się bardzo, ktoby myślał, że zając samiec, wyrwawszy się wcześnie z przed pogonki, biegnie z całym pospiechem na linię strzelców.

Proszę przypatrzeć się co robi taki zając?

Wyrwawszy się z kopna biegnie 200 do 300 kroków, staje, przygląda się sytuacji, idzie to w prawo, to w lewo, wraca ku pogonce, to znów przystaje, a wysądowawszy dopiero sytuację, zwraca się w tę stronę, gdzie mu się zdaje, że znalazł najbezpieczniejsze miejsce do przejścia. I często się zdarza, że zajęczyca, która wyskoczyła z kopna później od zająca, jest prędzej od tego, pod linią strzelców. Tak jest w miocie czy to leśnym, czy polnym. Inna rzecz polowania na wydeptanego polowania ławą, lub polowanie w kotłach.

W tych trzech rodzajach polowania, a zwłaszcza w dwóch pierwszych, pada, na ogół zabitych zajęcy, przynajmniej 75% samic, bo zające (samce) wstają na dalekie odległości przed myśliwymi, a nie zatrzymane ani z frontu ani z boków, odchodzą przeważnie bez strzału. Przeciwnie samice wstające na 10 -30 kroków przed ławą myśliwych, są łatwą zdobyczą.

W kołach, gdzie prawie wszystko ginie co jest kołem objęte, giną również w pierwszym rzędzie samice powstające z kopna na bliski strzał.

Jedynie więc, chcąc skutecznie zaszanować zajęczyce, a przynajmniej znacznie zmniejszyć odstrzał ich, byłoby, nie polować ani na wydeptanego, ani ławą, ani w kotłach. Na to ja osobiście zupełniebym się zgodził. Ponieważ jednak przywykłem we wszystkiem liczyć się z życiem, a nie wyłącznie z teorją, przeto muszę postawić pytanie, czy ogół myśliwych, a właściwie, czy ogół polujących, z tem by się zgodził. Na to pytanie odpowie niezawodnie, bardzo znaczna większość polujących, stanowczem „nie“ Doświadczenie mnie jednak poucza, że można dojść do bardzo dobrego stanu zajęcy, bez specjalnego ochraniania samic zajęczych.

Tam, gdzie zajęcy brak, spowodowany rabunkową gospodarką, tam najlepiej zamknąć polowania i przez rok, czy przez dwa lata, chroniąc odnośne terena przed kłusownikami i niszcząc drapieżniki, wcale nie polować.

Gdzie zaś jest zajęcy nie tyle ileby być powinno, to stan ich niezawodnie się podniesie, jeżeli: 1. teren będzie strzeżony przed kłusownikami, 2. drapieżniki tępione 3. jeżeli się w ciężką, mroźną i śnieżną zimę pomoże karmą i jeżeli 4) terena łowieckie będą opolowywane tylko raz jeden w sezonie i 5. jeżeli 1/3 albo przynajmniej 1/5 całego terenu łowieckiego zostanie niespolowaną.

Przestrzegając powyższych reguł można, na tem jedynem w sezonie polowaniu, wystrzelać wszystko, bez szkody dla zwierzostanów, które w roku następnym (przy korzystnych warunkach klimatycznych) niechybnie będą większe.

Wiem i przyznaję, że sprowadzanie zajęcy z innych a klimatycznie odpowiednich nam krajów dla odświeżenia krwi, przyznaję i wiem, że zakładanie remiz po polach bardzo podniosłoby nasze zwierzostany, ale wiem również, że nie wszyscy mogą ponosić koszta z tem połączone.

Jeżeli jednak wszyscy, a to tak właściciele samoistnych terenów łowieckich, jakoteż i dzierżawcy tych terenów zastosują się do tych premitywnych obowiązków, jakie wkłada na nich ustawa łowiecka i te obowiązki ściśle wykonają, a temi są:

1. Należyta ochrona terenów łowieckich przed kłusownikami.

2. Skuteczne tępienie drapieżników i

3. Racjonalny odstrzał zwierzyny, to obecny stan zwierzyny łownej w Małopolsce, pomnoży się ogromnie. Twierdzenie to opieram nie na teorji, ale na osobistem doświadczeniu.

Żeby jednak wywołać u ogółu poczucie powyższych ustawowych obowiązków i przypilnować dokładnego ich wykonania uważam za potrzebne zawiązywanie powiatowych Towarzystw łowieckich, nie w celu urządzania polowań, ale w celu wprowadzenia i przypilnowania dobrej gospodarki łowieckiej.

Odnośnie do propozycji puszczania bez strzału loch (samur), to wobec postanowień obecnie obowiązującej ustawy łowieckiej, co do odszkodowań za szkody wyrządzane przez dziki, muszę się stanowczo oświadczyć przeciw temu. Nie będę teoretycznie udowadniał, jakie prawnicze kurjoza zawiera ta ustawa w dziale odszkodowań. Przytoczę fakta. Właściciel majętności położonej w gminie Z. pan A. ma 2000 hek. lasu, w którym dziki stale przebywają i 90 hekt. roli. Pan A. nie jest dzierżawcą polowania na gruntach włościańskich w gminie Z. Prawo to dzierżawi pan B. Z majątkiem pana A. graniczy bezpośrednio gmina S., w której pan C., znakomity pod każdym względem myśliwy, ma samoistny teren łowiecki, a nadto dzierżawi prawo polowania na gruntach włościańskich gminy S.

Ani pan C., ani gmina S. nie mają ani hektara lasu. Dziki przebywające stale w lesie pana A. wyrządzają ogromne szkody w ziemiopłodach pana C., jako też w ziemiopłodach włościan gminy S. i Z. Pan C. nie ma prawa żądać od pana A. odszkodowania za szkody wyrządzane mu przez dziki, bo szkoda zrobioną jest na terytorjum łowieckiem, którego właścicielem jest poszkodowany pan C. Co więcej tak pan C. jakoteż i pan B. jako dzierżawcy polowania muszą płacić odszkodowania włościanom za szkody wyrządzone im przez dziki, a to pan B. włościanom z gminy Z., a pan C. włościanom z gminy S. W myśl bowiem postanowień ustawy łowieckiej pan A. nie jest obowiązany do płacenia szkody, wyrządzonej na obcem terytorjum polowania przez jego dziki, przebywające stale w jego lesie.

Czy w tych warunkach mogą panowie B. i C. zgodzić się na propozycję szanowania loch. Zdaje mi się, że nie leży w interesie tych panów, starać się o powiększenie stanu dzików na terytorjum łowieckiem pana A. Takich przykładów jest w Małopolsce bardzo wiele.

Być może, że obecnie zmieniły się poglądy co do szkodliwości dzików w kulturach leśnych. Dla rolników, są one jednak tak jak dawniej i obecnie wielkimi szkodnikami. I z tem trzeba się liczyć i nie zapominać, że mamy przyjaciół, którzy już samą chęć ochrony dzików, użyją przeciw nam.

* * *

Rawskie Powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Rawie ruskiej.

Rawa ruska, dnia 15 listopada 1926.

Do życia powołała nas troska o stan zwierzyny, troska o racjonalną gospodarkę łowiecką w naszym powiecie. Warunki etnograficzne i klimatyczne naszego powiatu sprzyjają bardzo rozmnoży zwierzostanów. Duże kompleksy, leśne urodzajne pole i łąki przecięte rzekami, tworzą teren łowiecki, gdzie roić się powinno od zwierzyny. A przecież na ogół biorąc, stoją nasze zwierzostany znacznie poniżej tego, co przy najskromniejszych wymaganiach być powinno. Tak jest niestety — a wina tego leży w nas samych. Właściwością ludzi jest nie widzieć win własnych, lecz szukać winowajcy wszędzie, tylko nie na własnem podwórzu.

Związawszy się jednak w Towarzystwo łowieckie do wspólnej pracy i dla wspólnego celu, musimy szczerze i bezstronnie przyglądnąć się naszej dotychczasowej gospodarce łowieckiej, a przekonawszy się, że gospodarkę tę trzeba zmienić, zmienić ją i sprowadzić na właściwą drogę.

Mamy wprawdzie w naszym powiecie gospodarstwa łowieckie prowadzone wzorowo, intenzywnie, ale gospodarstwa te to białokruki, to wyjątki od ogólnej niedbałej gospodarki, a ilość tych wzorowych gospodarstw pokrytą jest wielokrotnie przez gospodarstwa rabulistyczne, jakich niestety nie brak u nas. Elementarne wymogi gospodarki łowieckiej ujęte są w ramy ustawy łowieckiej z r. 1909 i wydanej do niej przepisów wykonawczych i żądają bezwarunkowo: 1) Ochrony terenów łowieckich przed kłusownikaml przez zaprzysiężoną straż łowiecką. 2) Ochrony zwierzyny łownej przed drapieżnikami. 3) Użytkowanie terenów łowieckich w ten sposób przy odstrzale zwierzyny, aby stan zwierzyny łownej co roku się zwiększał. Czyż my czynimy zadość tym przez ustawę włożonym na nas obowiązkom?

Ad 1) Dozór naszych terenów rzekomo wykonują zaprzysiężeni dozorcy polowania. Są oni jednak równocześnie polowymi, czy gajowymi — a służba w polu czy w lesie, tak ich absorbuje, że nawet w wypadkach, gdy słyszą strzały na terytorjum zostającem pod ich dozorem, nie mają czasu stwierdzić kto strzela, a tem mniej pochwycić kłusownika. Ochrona terenów łowieckich jest więc okolicznościową, czyli w rzeczywistości nie istnieje.

Ad 2) Nie istnieje również ochrona zwierzyny przed drapieżnikami. Psy i koty buszują bezkarnie po rewirach. Jastrzębie, sroki i wrony nie strzelane, nie niszczone z wiosną w gniazdach, rozmnożyły się bezmiernie, wyrządzając ogromne szkody w zwierzostanach, a my spoglądamy na to spokojnie, bezczynnie, choć niszczyć je jest naszym, ustawą na nas włożonym obowiązkiem. Zarzut ten dotyczy w pierwszym rzędzie właścicieli obszarów leśnych, bo tam głównie gnieżdżą się i wylęgają arapieżniki.

Ad 3) Zato przynajmniej na 8-mej części całego terenu naszego powiatu, wykonuje się w całej pełni odstrzał zwierzyny, która jedynie dzięki dobrej gospodarce sąsiada — znajduje się na tym terenie. Na tych to terenach, na których nic się nie robi około podniesienia zwierzostanów nie oglądając się na skutki, strzela się co tylko podejdzie pod lufę.

Istnieją nadto u nas tereny łowieckie przedstawiają się w rzeczywistości jako rzecz niczyja. Są to tereny samoistne będące własnością osób niemyśliwych. Na tych terenach poluje kto chce i kiedy chce.

Właściciele takich terenów zamiast oddać je za pieniądze lub za umówioną ilość zwierzyny w ręce dobrego gospodarza łowieckiego, nie dbają wcale o zwierzostany, nie wypełniają obowiązków włożonych na nich przez ustawę łowiecką, pozwalają na rabulistyczne wybijanie zwierzyny — wyrządzając przez to wielką szkodę gospodarce łowieckiej. Takie tereny to Eldorado dla kłusowników, to pasożyt żerujący na cudzym organiźmie, to może największa plaga gospodarki łowieckiej. Na tych terenach dokonuje się ulegalizowana kradzież zwierzyny, wychowanej obcą pracą. Tak w przyszłości być nie może. Wszyscy, a to tak członkowie naszego Towarzystwa łowieckiego, jako też i ci, którzy do tego Towarzystwa nie przystąpili, myśliwi, czy nie myśliwi będą musieli wypełniać obowiązki włożone przez ustawę łowiecką, na posiadaczy prawa polowania — w przeciwnym bowiem razie Wydział tutejszego Towarzystwa

łowieckiego wystąpi przeciw uchylającym się od tych obowiązków, z całą bezwzględnością. W naszym powiecie musi kłusownictwo należeć do wyjątków, tereny łowieckie muszą być skutecznie dozorowane — drapieżniki z całą energią tępione, a odstrzał zwierzyny ustosunkowany do warunków miejscowych. Gospodarka rabulistyczna musi stanowczo zaniknąć na całym obszarze naszego powiatu. W tym celu zawiązaliśmy Towarzystwo łowieckie, a cel ten zrealizujemy tylko przy wspólnej i wytrwałej pracy. Wydział Towarzystwa łowieckiego liczy na pomoc i współpracę swych członków. W końcu wyraża wydział nadzieję, że wszyscy właściciele i dzierżawcy prawa polowania w naszym powiecie przystąpią jako członkowie do rawskiego powiatowego Towarzystwa łowieckiego uznając, że to wstąpienie leży tak w ich interesie, jakoteż i w interesie gospodarki łowieckiej.

Sekretarz: *Przewodniczący:*
Inż, Aleksy Biliński mp. *Kaz. Wysocki mp.*

Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE

z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 22. grudnia 1926 r.

Przewodniczy Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni wiceprezes: A. Sander, członkowie Wydziału: inż. Drapella, inż. Ebenberger, Wł. Garapich, T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, A. Ulm, Dr. Ziembicki, zastępcy: St. Jaśkiewicz i Dr. Fr. Piechowski; Nieobecność usprawiedliwili: wiceprezesi C. Czarkowski-Golejewski i A. Mniszek, tudzież gen. Fr. Hr. Meraviglia.

Wybranej Komisji polecono zastanowić się nad tem, czy stan finansów Towarzystwa pozwala na zwiększenie objętości „Łowca“ i na bogatsze niż dotąd ilustrowanie go.

Omówiono sprawę, będącego w toku uchwalenia przez Radę miejską m. Lwowa, uciążliwego podatku od broni.

Delegatem w powiecie bocheńskim zamianowano dodatkowo Karola Żeleńskiego w Grodkowicach.

W poczet członków zostali przyjęci: Wojciech Borzemski w Muszynie pow. Nowy Sącz, Jan Gromnicki w Laskowcach pow. Trembowla, Inż. Feliks Januszke w Grybowie, Wiktor Kappy w Staniławowie, Tadeusz Kwiatkowski tamże, Franciszek Leurman we Lwowie, Dr. August Łoziński we Lwowie, Jerzy Małecki we Lwowie, Rawskie powiatowe Towarzystwo Łowieckie w Rawie Ruskiej, Jan Siemieński we Lwowie, Towarzystwo Myśliwskie w Brodach, Towarzystwo Łowieckie w Tarnopolu i Karol Żeleński w Grodkowicach pow. Bochnia.

* * *

Od Administracji.

Szanownym prenumeratorom Łowca przypominamy przedpłatę na rok 1927. Do Szanownych członków M. T. Ł. zwracamy się z uprzejmem przypomnieniem i usilną prośbą o bezwarunkowe uiszczenie w styczniu 1927 zaległych wkładek członkowskich, za lata uprzednie i za I. kwartał 1927 r.

W tym celu dołączamy do numeru pierwszego „Łowca“ przekazy P. K. O., na których uwidoczniliśmy cyfrową wysokość zaległości.

KOMUNIKAT

DO P. T. CZŁONKÓW RAWSKIEGO POWIATOWEGO TOW. ŁOWIECKIEGO.

W myśl uchwały Wydziału Powiatowego Towarzystwa Łowieckiego z dnia 5 lutego mającej na celu podniesienia stanu zwierzyny i kultury łowieckiej w naszym powiecie uprasza się P. T. Członków:

1) o przedkładanie wykazu polowań odbytych na swoich terytorjach z podaniem ilości ubitej zwierzyny łownej jako też szkodników, z podaniem ewentualnych spostrzeżeń mogących mieć wpływ na ogólną gospodarkę.

2) opolowywanie tylko jeden raz jednego rewiru.

3) o unikanie o ile możności polowania na „deptaka“, gdyż przy tym sposobie polowania padają przeważnie zajęczyce.

4) o bezwzględne unikanie polowania „na zasiadkę“ jako niegodne prawdziwego myśliwego.

5) o liczenie przy polowaniach zajęczyc i gachów i podawanie Wydziałowi Tow. wyników dla urobienia właściwego poglądu na całokształt gospodarki.

6) o wydawanie świadectw pochodzenia zwierzyny z bardzo krótkim terminem ważności (3 dni), by w ten sposób umożliwić Władzom kontrolę w handlu, czy zwierzyna pochodzi z gospodarstw łowieckich, czy też z rąk kłusowników.

7) o poddawanie zwierzynie odpowiedniej jakości w odpowiedniej ilości karmy w ciągu zimy, gdyż karmienie jest w łowiectwie niezwykle ważnym czynnikiem i decyduje o przyszłym stanie zwierzostanu.

8) o forsowne tępienie szkodników.

9) o nałożenie w czasie gremialnych polowań opłaty po 10 gr. za pudło a zebrany pieniądz przesyłać Wydziałowi Towarzystwa celem zasilenia funduszu nagród dla dobrze zasłużonych strażników łowieckich w myśl statutu.

10) wreszcie o ujednostajnienie premij dla strażników łowieckich za tępienie szkodników według następującej normy: lis 4 zł, kuna 10 zł, tchórz 3 zł, jastrząb 3 zł, krogulec 2 zł, psy, koty 1 zł, łasice 2 zł, wrony 10 gr, jaja szkodników 5 gr za sztukę, przyczem strażnik łowiecki otrzymuje ponadto naboje.

Ponadto Wydział Towarzystwa uchwalił ściągać wkładki od P. T. Członków półrocznie i uprasza ze względu na początkowe znaczne wydatki przesyłać jak najspieszniej pieniądze na ręce Skarbnika P. Władysława Underki w Rawie Ruskiej.

Sekretarz: *Prezes:*
I. A. Biliński w. r. *Kaz. Wysocki w. r.*

* * *

Powyższe dwa komunikaty Rawskiego powiatowego Towarzystwa Łowieckiego umieszczamy nie tylko w spełnieniu naszego obowiązku, lecz także w radosnem przeświadczeniu, że Rawskie Towarzystwo idzie twardo konsekwentnie obraną drogą i że działalność jego stanie się pobudką do podobnych organizacji w innych powiatach.

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli:

Zarząd dóbr Bąkowice 11 zł; Towarzystwo Łowieckie w Chodorowie Strzałowe zebranie na polowaniu Tow. w dniu 10 grudnia b. r. 9 zł; Łysakowski Leopold zebrane na polowaniu w Trójcy dnia 11 grudnia br. 21 zł; Czaykowski Zdzisław zebrane po polowaniu w Targowicy u p. Wiktora Abrahamowicza 22·50 zł; Konopka Jan Leon w Oleśnie 20 zł.

Starostwo w Skolem L: 43382/2.

Ławoczne — polowanie.

Skole, dnia 17. grudnia 1926.

Ogłoszenie:

Rozpisuję licytację ofertową na dzierżawę prawa polowania Spółki łowieckiej w Ławocznem. Obszar: 1905 ha a 07 m^2. Dotychczasowy czynsz dzierżawny, wadjum 60 zł; kaucja jednoroczny czynsz dzierżawny. Okres: od 1. lutego 1927 do 31. stycznia 1933 r. Oferty należy wnosić w zaklejonych kopertach, opatrzonych w napis: „Ławoczne — polowanie“. do dnia 12. stycznia 1927 r. do godz. 10-tej. Otwarcie ofert nastąpi dnia tego o godzinie 10-tej w biurze Nr. 7 Starostwa. Zatwierdzenie oferty zastrzeżone jest Starostwu w Skolem.

Starosta: *Kostrzewski.*

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Z „Drukarni Narodowej“, Lwów, ul. Szajnochy 2. Tel. 21-35.

Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.